

Przemówić pełnym głosem

Przeoglądam swoje notatki z gorących dni minionego lata... Nie jest ich wiele. Nie miałem głowy do pisania. Paraliżowała mnie świadomość absolutnej bezsilności i izolacji; było to chyba dotąd dość typowe samopoczucie ludzi stanowiących tzw. inteligencję humanistyczną. W momentach skrajnej frustracji byłem nawet skłonny określać siebie jako człowieka marginesu społecznego.

Te notatki prowadzę od kilkunastu lat - gdzieś od schyłku lat sześćdziesiątych. Powierzam im refleksje "niecenzuralne", dotyczące różnych problemów społecznych i politycznych, zagadnień propagandy i informacji, funkcjonowania aparatu władzy - słowem tematów t a b u. Przez całe lata prowadziłem szczególną grę z cenzurą /której na szczęście ona nie była świadoma/, przemycając w druku w rozmaitych rozprawkach polonistycznych czy szkicach krytycznoliterackich pojedyncze zdania z moich "tajnych" notatek. Zdawałem sobie sprawę, że jest to gra niebezpieczna... Nie, nie myślałem o jakichś tam "konsekwencjach", ale o autodestrukcji psychicznej, jaką ona powodowała. Oto ja, członek partii, popadałem stopniowo w obsesję konspiratorską, w chorobę aluzyjności, zatracając powoli rozeznanie w celach mojej pracy. Coraz częściej stawiałem sobie pytanie: o co mi - u diabła - w tym czy innym artykule chodzi? O o d c z y t a n i e utworu literackiego czy w p i s a n i e wień określonych treści? I kim ja sam - do cholery - jestem: krytykiem literackim czy pokątnym ideologiem?

Niech nikt, po przeczytaniu tych kilku zdań, nie oskarża mnie pochopnie o egocentryzm, bo zawierają one pytania o miejsce humanisty w naszym społeczeństwie i miejsce humanisty w partii.

Napomknąłem już, że do wydarzeń minionego lata byłem skłonny określać to miejsce jako peryferyjne. Nieraz rozmawiałem z kolegami na temat przyczyn naszego fatalnego samopoczucia, wśród których niewątpliwie pierwszą była świadomość znikomej użyteczności społecznej naszej pracy. Ta użyteczność nie mogła być większa, skoro centralny splot problemów społeczno-politycznych stanowił tabu. Oczywiście byli wśród humanistów ludzie o samopoczuciu znakomitym. Dla nich nie istniały żadne tabu, bo oni owe trudne problemy poruszali w sposób **s ł u s z n y** a nawet **j e d y n i e s ł u s z n y**. Oni spełniali **o c z e k i w a n i a p a r t i i**.

"Partia oczekuje od nas...", słyszałem niemal na każdym zebraniu - i ciągle od nowa zastanawiałem się, dlaczego te oczekiwania partii są tak bardzo odległe od moich własnych oczekiwań jako członka partii? W gazetach rozprawiano się z podziałem na "my" i "oni", a tymczasem w mojej świadomości pogłębiała się szczelina pomiędzy "my" i "ja".

"Myśmy mnie wyrzucili z partii" - miał powiedzieć Leon Schiller, nasz wielki reżyser teatralny. Było to w pierwszym powojennym "okresie błędów i wypaczeń". W tych słowach nie śródnic z dowcipu - nie do śmiechu było wówczas największemu artyście polskiego teatru - jest w nich zdumienie człowieka, którego "ja" zostało oddarte od "my", zdumienie człowieka, który się utożsamiał z pewną zbiorowością, jej cele uznawał za własne, robił wszystko, by jej służyć wszystkimi siłami i całym swoim talentem. Jeżeli zbiorowość odrzuca takich ludzi, to znaczy, że jest chora. Taką chorobę nasza partia przeszła już trzykrotnie. Objawy za każdym razem były te same: ostra niechęć do ludzi myślących i działających nieszablonowo, wyra-

stających ponad przeciętność. Ich eliminacja albo obezwładnienie także za każdym razem przynosiły ten sam skutek dla partii: jałowość tasiemcowych debat, apatię szeregowych członków, bezruch myśli...

Wyznam szczerze, co było przedmiotem mojego największego niepokoju w okresie przedłużających się strajków na Wybrzeżu. Otóż obawiałem się, że porozumienie okaże się niemożliwe, bo nie ma już w naszym języku słów jednoznacznych, nie nadużytych, nie skompromitowanych. Ojczyzna, obywatelski obowiązek, odpowiedzialność, socjalizm - tymi wielkimi słowami szafowaliśmy bez najmniejszego umiarkowania przez tyle lat, że ich znaczenia stały się zatarte, nierozpoznawalne jak godła na monetach, które są zbyt długo w obiegu. Te monety stały się podejrzane - nikt ich już nie chciał brać. W jednym ze szkiców krytyczno-literackich umieściłem zdanie /z moich "tajnych/ notatek, ma się rozumieć/, że spośród wszystkich nadużyć, jakie u nas popełniono, największym jest nadużycie wielkich słów. Prymitywizm i nachalność naszej propagandy wprawiały każdego człowieka o minimalnej choćby wrażliwości językowej w przerażenie. Nie zapomnę mojego własnego przerażenia, gdy po raz pierwszy zobaczyłem na jednym z gmachów przy ul. Armii Czerwonej w Katowicach ogromny zielony /!/ neon: "NASZE MYSLI SERCA CZYNY TOBIE SOCJALISTYCZNA OJCZYZNO". Najbliższy neonowy kontekst stanowi fantazyjna reklama: "Variete Centrum". Z kolei w Sosnowcu przy ul. Czerwonego Zagłębia biegnące szybko neonowe litery składają się na hasło: "SPOŁECZENSTWO GOSPODARZEM MIASTA" - tuż obok neon "UNITRA". Nad jedną z nowych dzielnic króluje neon: "MIESZKANCY GOSPODARZEM OSIEDLA" itd. Nie byliśmy społeczeństwem rządzonym nazbyt kompetentnie, ale i tak każdy z najmniej udolnych kierowników naszej gospodarki wydawał się gigantem

intelektualnym w porównaniu z ludźmi, którzy kierowali propagandą. Czy doprawdy żaden z nich nie pomyślał, że to pomieszanie haszeł ideologicznych i reklam degraduje i ośmiesza te pierwsze, czyniąc z nich także coś w rodzaju ofert handlowych? Komentarz nasuwał się sam: oto w braku towarów oferujemy hasła.

Nie wolno bezkarnie "unowocześniać" pewnych symboli. Nie wolno hasła z czerwonego transparentu, noszonego przez dziesięciolecia w czasie manifestacji robotniczych, przenosić beztrąsko w postaci zielonego neonu na dach wieżowca /.../ W filmie Felliniego "Rzym" jest wstrząsająca scena pokazu mody liturgicznej. W momencie kulminacyjnym wjeżdżają na podium kapy i ornaty rozświetlone kolorowymi neonami i pulsujące światłami jak młodzieżowa dyskoteka. Ilekroć przechodzę ulicą Armii Czerwonej w Katowicach albo Czerwonego Zagłębia w Sosnowcu - a zdarza się to często, bo przecież tam pracuję - przypomina mi się wspomniana sekwencja z filmu Felliniego.

Czy uświadomiliśmy sobie wreszcie tego dramatycznego lata skutki straszliwej inflacji wielkich słów? /.../

Na szczęście nasz słuch społeczny nie został jeszcze doszczętnie stepiony. Jeszcze dosłyszeliśmy słowa: ojczyzna, obowiązek, odpowiedzialność. W rozmowach na Wybrzeżu odzyskały one swój prawdziwy sens, oczyszczone z kontekstu nieodłącznych dotąd frazesów. Polacy dogadali się z sobą, wbrew moim obawom, że nie znajdują już słów, które by znaczyły dla dwóch choćby rozmówców to samo. Widzę jednak pilną potrzebę stworzenia nienaruszalnej rezerwy wielkich słów, po które wolno będzie sięgnąć tylko w sytuacjach szczególnej wagi. Nie wtedy, gdy zagrożony jest miesięczny, kwartalny czy nawet roczny plan, ale wtedy, gdy zagrożony jest nasz wspólny dorobek, nasz byt społeczny i narodowy. Używajmy słów na miarę rzeczy, które one nazywają i na miarę zdarzeń, które opisują. Nie nazywajmy

zwykłych rezultatów codziennej pracy jakiegoś zakładu "wielkim sukcesem naszej gospodarki", a kiedy do sklepu przywiozą papier toaletowy, nie mówmy, że "nastąpiła dalsza poprawa w zaopatrzeniu rynku". Nasza propaganda po latach słownego rozpasania musi nauczyć się powściągliwości.

Trzeba ją przede wszystkim oduczyć tego natrętnego szermowania hasłami ideologicznymi, które je tak skutecznie kompromituje. Trzeba przetrzebić ten las plansz, tablic, neonów, z których krzyczą do nas słowa wydarte z dzieł klasyków marksizmu i wymyślone przez niedouczonego działacza, wprowadzając ludzi w stan permanentnej irytacji a w najlepszym wypadku pozostawiając obojętnymi i zniechęconymi. Czy nikt z tzw. ludzi o d p o w i e d z i a l n y c h /którzy okazali się kompletnie nieodpowiedzialni/ nie zadał sobie nigdy pytania o skuteczność tego rodzaju propagandy będącej właściwie antypropagandą? Czy nikt nie zastanowił się, co czuje tzw. szary obywatel, kiedy wysiadając z zatłoczonego autobusu lub tramwaju, zmaglowany, z naderwanymi guzikami, spostrzega hasło: "Naszym najwyższym celem jest człowiek"? Te słowa urągały naszemu codziennemu doświadczeniu gromadzonemu w kolejkach sklepowych, w labiryntach urzędów, w zakładach pracy; rodziły gorycz, sarkazm, wreszcie bezsilną furję.

Odświętna gala, w jaką przystrojono na stałe nasze miasta, rażąco kontrastuje z nastrojami tysięcy zmęczonych, zabieganych ludzi, tej ogromnej rzeki, przepływającej codziennie ulicami. Kto wie, czy nie największą niezręcznością naszej propagandy było zamazanie granicy pomiędzy świętem a dniem powszednim. Konsekwencje tego faktu dają się nam odczuć coraz dotkliwiej - czas więc najwyższy poświęcić mu chwilę refleksji. Może posuwam się w swych sugestiach za daleko, ale od lat gnębi mnie /i przynajmniej kilku jeszcze ludzi, z którymi często na ten


temat rozmawiałem/ podejrzenie, że tu tkwi główna przyczyna wielu kłopotliwych anomalii naszego życia. Ostatnio zresztą coraz częściej się o tym pisze i mówi. Mówi się o teatralizacji czy nawet karnawalizacji życia, o nieprzerwanym paśmie festynów, obchodów, festiwali itp. Zawsze u nas od pracy ważniejsza była jakaś uroczystość, jakieś odsłonięcie pomnika, przecięcie wstęgi, choćby zwykłe zebranie czy narada. Towarzysze z aparatu niefrasobliwie chwyтали za słuchawkę telefonu i polecali wysyłać setki ludzi do jakiejś hali widowiskowej na spotkanie z ważną osobistością czy na trasę jej przejazdu. W ciągłej gotowości musieli być zwłaszcza uczniowie i studenci. Wyrywani z lekcji i wykładów takimi telefonami nabierali stopniowo przekonania, że nauka i praca wcale nie są takie ważne, jak to się im właśnie na tych spotkaniach i wiecach próbuje wmawiać. Powstawały sytuacje groteskowe: odrywano ludzi od pracy i nauki po to, żeby ich w taslemcowych przemówieniach przekonywać, że praca i nauka są ich najważniejszym obowiązkiem. Nic dziwnego, że po dziesięcioleciach takiej edukacji wszystko nam się pomieszało: czas pracy z czasem dyskusji, rzeczywistość z teatralną iluzją. Od 1 Maja do 22 Lipca właściwie nieprzerwanie łopocą falgi, a przez okrągły rok mrugają do nas neony: "Wydajną pracą realizujemy program FJN", "Czynem upiększamy nasze miasto" /bo też z Katowic i Sosnowca/.

Ta odświętność spowszedniała, wyświechtana i wyblakła nie budzi entuzjazmu, nie mobilizuje, przeciwnie: wywołuje nastroje przygnębienia i apatii. Nasuwa także ludziom pytanie: ile to wszystko kosztuje? Takie nastroje z kolei prowadzą do cynizmu i nihilizmu, do kwestionowania wszelkich wartości.

Od dawna już stało się dla wielu z nas jasne, że ten obiedny karnawał musi prowadzić prosto do katastrofy. Od dawna rozlegały się głosy, że trzeba go koniecznie przerwać, że

trzeba na nowo odgraniczyć święto od dnia powszedniego, czas zabawy od czasu pracy. Powiedzmy sobie bez owijania w bawełnę: nie uda nam się to bez odwołania ze stanowisk wielu etatowych wodzirejów tego karnawału, bez poważnej redukcji aparatu partyjnego, który miał pełnić rolę stymulatora, nader często hamował i zakłócał pracę społeczeństwa. Trzeba będzie rzeszom instruktorów w rozmaitych komitetach wytrącić z rąk słuchawki telefoniczne - ich ulubione i jedyne narzędzie pracy, przy pomocy którego tak skutecznie dezorganizowali pracę innych.

Te i wiele innych jeszcze myśli kłębiło mi się w głowie tego gorącego lata. Wracałem do nich w moich notatkach wieloletnie w ciągu kilkunastu lat - bez nadziei, że kiedykolwiek ujrzą światło druku. W ostatnich tygodniach w prasie, radiu i telewizji różni ludzie z kręgów inteligencji prześcigają się w składaniu hołdów klasie robotniczej - i nie mam wątpliwości, że ogromna większość tych wypowiedzi jest absolutnie szczerą. Pragnę dołączyć do nich moje własne podziękowania dla stoczniowców, dokerów, górników, hutników, robotników dziesiątków fabryk, że umożliwili mi, humaniście, przemówić pełnym głosem. Nie będą nawet próbował tym ludziom ciężkiej fizycznej pracy wyjaśniać, co to znaczy - dla człowieka, którego narzędziem pracy i materiałem, w którym pracuje, jest słowo - m ó c p r z e m ó w i ć p e ł n y m g ł o s e m.


Buczkwice